

Relacja Oli Peszkowskiej z odcinka turystycznego po Afryce Południowej.

Po dwóch tygodniach przelotu z Mauritiusa, przed południem wplywamy do Richards Bay, naszego pierwszego portu w Afryce Południowej. W porcie jest akurat niska woda – odpływ. Zastanawiamy się jak tu wyjść na brzeg, żeby założyć cumy. Nagle na kei pojawia się sympatycznie wyglądający blondyn.

- Rzućcie sznurki, to was uwięzę – mówi. Po polsku. – Ty jesteś Asia, prawda? - Zwraca się do mojej skipperki. – A ciebie jeszcze nie znam, chyba miałyście zmianę załogi.

Patrzę zdziwiona na Asię.

- To twój znajomy? – pytam szeptem.

- Nie. – Asia wydaje się jeszcze bardziej zaskoczona niż ja.

- Jestem Mikołaj. Pływamy z moją dziewczyną na łódeczce jeszcze mniejszej niż wasza. – Pokazuje zacumowane po przeciwnej stronie granatowe maleństwo. – Mój kolega Kuba spotkał was na Fidżi, stąd wiem o waszym rejsie. Śledzę wasze poczynania na stronie internetowej. Myślałem, że spotkamy się jeszcze w Australii, ale zawsze się jakoś wymijaliśmy. Cieszę się, że mogę was wreszcie poznać. O, idzie Dagmara – przedstawia nam szeroko uśmiechniętą blondynkę.

Tak zaczyna się jedna z najsympatyczniejszych przyjaźni, jakie zawarłyśmy podczas tego rejsu. I nasza przygoda z Afryką – krainą równie zaskakującą, jak pierwsze spotkanie na jej brzegu.

Mikołaj i Dagmara są polskimi żeglarzami, który od czterech lat opływają świat. Wyruszyli ze Szwecji, przebyli już Atlantyk, Pacyfik i Ocean Indyjski. Do Richards Bay zawinęli kilka dni przed nami, znają już teren i natychmiast otaczają nas opieką. Dzięki ich pomocy w dwa dni uwijamy się z porządkami na jachcie, tankujemy, wodę, paliwo, oddajemy żagle do żaglomistrza. Po dwóch dniach mamy nareszcie trochę czasu, by zapoznać się z okolicą. Większości z nas Afryka kojarzy się przede wszystkim z dzikimi zwierzętami – krwiożerczymi lwami, łagodnymi, pięknymi żyrafami, zabawnymi zebami itd. Ruszamy zatem, by poznać Afrykę taką, jaka gości w naszych o niej wyobrażeniach. Wynajmujemy samochód i rozpoczynamy „pokojoye safari”, które od klasycznego różni się tym, że zamiast broni, zabieramy ze sobą aparaty fotograficzne. Z mariny wyjeżdżamy tak wcześnie, że świat jest jeszcze pogrążony w mroku, do tego pada. Aura ponura. Ale towarzyszące nam małżeństwo Afrykanerów (potoków holenderskich osadników, którzy kolonizowali te ziemie od XVII wieku, mówiących swoim własnym językiem, będącym dziwną mieszanką języka holenderskiego i angielskiego), twierdzi, że to bardzo dobry znak.

- Gdy pada jest nieco chłodniej, więc zwierzęta nie chowają się przed skwarem, tylko ruszają na łowy. W deszczowe dni łatwiej je zobaczyć.

Przekraczamy bramy parku narodowego Hluhluwe i oto naszym oczom ukazuje się sawanna. Na próżno szukać tu jaskrawej zieleni. Przed nami rozciągają się wypalone słońcem przestrzenie, żółte, szaro-zielone, brązowe, w kolorze ochry. Roślinność wydają się być raczej karłowata. Krajobraz dokładnie taki, jaki wyobrażałam sobie od dziecka, gdy jeszcze zaczytywałam się przygodową serią „Tomków” Alfreda Szklarskiego. Drzewa są niskie i poskręcane. Korony mają rozłożyste i spłaszczone od góry, jak zielone stoły z liści. I tylko w zakamarkach widać czasem kolorowe plamy – to bajeczne upierzenie egzotycznych ptaków. Nagle drogę zagrządzają nam zebry. Całe stado kroczy majestatycznym krokiem po jezdni. Nie boją się. Podchodzą blisko do samochodów i spoglądają na nas obojętnym wzrokiem z niezmaconym spokojem przeżuając trawę. Nagle Karolina krzyczy:

- Patrzcie tam, na lewo, nad drzewami! – znad liści wyłania długa pomarańczowa szyja, zakończona niewielką głową. Żyrafy co prawda raczej nie podchodzą do samochodów, ale ta jest na tyle blisko, że dostrzegamy jej powłóczyście spojrzenie famme fatalne. Żyrafy głowy

mają niewielkie, ale oczy olbrzymie i okolone bardzo długimi rzęsami.

Johann i Elza mieli rację – dzięki nieco chłodniejszej niż zazwyczaj pogodzie, mieliśmy niebywałe szczęście. Widzieliśmy prawie wszystkie zwierzęta, które żyją w parku. W cieniu drzew, ledwie widoczne odpoczywały lwice. Drogę przecięła nam hiena – widok ponoć niezmiernie rzadki. Wzdłuż drogi spacerowało leniwie stadko słońi. W błocie przy wodopoju tarzały się dwa guźce. Większości widzianych przez nas gatunków gazel nie potrafię nawet nazwać. Przy położonym w środku parku punkcie odpoczynkowym wygrzewał się na słońcu nosorożec. A przed bramą wyjazdową zatrzymało nas stadko pawianów.

Stajemy. Pawiany bawią się na drzewach przy drodze. Jeden z nich siedzi na barierce. Jest niespokojny. Widać, że ma skaleczoną łapę. Zwierzę stroi miny identyczne jak zraniony człowiek. Gdy patrzę na jego gestykulację i zachowanie nie mam już najmniejszych wątpliwości – podoba nam się to, czy nie – Darwin miał stu procentową rację.

Ruszamy jednak dalej. Za bramą znajduje się wielki sklep z wyrobami Zulusów, do których ta ziemia pierwotnie należała. Ich osady w głębi sawanny to część parku narodowego.

Wchodzimy. Po stonowanych barwach sawanny kolory ozdób, obrazów i innych przedmiotów wytwarzanych przez miejscową ludność, zdają się krzyczeć. Jest tam wszystko – wykonane oryginalną, nieznaną mi techniką obrazy na płótnie, figurki zwierząt zrobione z drutu i koralików, paciorki z nasion, drewniane rzeźby, szamańskie maski. Część przedmiotów jest oczywistą „masówką” przeznaczoną dla turystów, lecz niektóre przedmioty wykonane ręcznie wskazują jednak na olbrzymi talent wykonawców. W końcu udaje nam się opuścić ten pamiątkowy raj – gdybyśmy chciały mieć wszystko, co nam się podoba, musiałybyśmy ogłosić zbiorową upadłość finansową...

Tuż przy wyjeździe czeka nas kolejna niespodzianka. Przy drodze tańczy grupka młodych chłopców w tradycyjnych zuluskich strojach. Dorosły mężczyzna stojący za nimi wybija rytm na bębnie. Ale nie jest to wcale wesoły widok. Żaden z chłopców się nie uśmiecha. Wszyscy są chudzi, jak patyki, mają wzdęte brzuchy. Widać, że zbierają pieniądze na jedzenie. Dajemy im, co kto ma i ruszamy dalej. Jest środek dnia, więc możemy dokładniej obejrzeć okolicę w drodze powrotnej do mariny. Mijamy olbrzymie osiedla domów zbudowanych z blachy falistej. Wyglądają jak typowe slumsy. Wszędzie brud, smród i bijąca w oczy bieda. Twarze ludzi są ściągnięte cierpieniem. Znamienne, że domki z blachy są prostokątne. A przecież Zulusi tradycyjnie mieszkają w okrągłych pomieszczeniach – udaje się czasem dostrzec okrągłe lepianki, lecz niezwykle rzadko. Dowiadujemy się, że zostali oni zmuszeni do porzucenia okrągłych domostw w ramach akcji przystosowywania ich do cywilizacji białego człowieka. Tak postanowiły władze. Nieczułe na to, że według wierzeń tego plemienia w kątach domów gnieźdzą się demony i złe duchy. Ale cóż, apartheid i jego zniesienie to temat rzeka...

Elza i Johann zabierają nas do domu jej matki na kolację. Gdy zajeżdżamy przed bramę posiadłości nasila się tylko moje wrażenie, że Republika Południowej Afryki to kraj, w którym nie ma odcieni szarości, on jest jak szachownica – czarno – biały. Domy białych ludzi wyglądają jak rezydencje. Otoczone wysokimi murami, zwieńczonymi drutem kolczastym, który w dodatku jest pod prądem. Małe getta, więzienia. Biali tu nie poruszają się pieszo, nie używają komunikacji miejskiej, jeżdżą jedynie prywatnymi samochodami. Rodzice Elzy, choć zamieszkują takie białe getto, stanowią jednak pewien wyjątek. W przeciwieństwie do większości swoich białych krajanów nie mówią o czarnej ludności jako o bydle (z czym niestety spotykamy się nader często), lecz normalnie, jak o biednych ludziach, których problemy trzeba jakoś rozwiązać, tak by na tym już bardziej nie ucierpieli. Matka Elzy mówi po zulusku oraz w kilku innych narzeczeniach okolicznych plemion. Ta rodzina jest jedną z niewielu, jakie spotkamy w tym kraju i która nie uważa, że Bóg stworzył białych panami świata...

Następnego dnia otwiera się tzw. „okno pogodowe”. Opłynięcie południowego wybrzeża

Afryki nie należy do najprostszych – z północnego -wschodu płynie wzdłuż brzegu jeden z najsilniejszych prądów na świecie – Agulhas, zaś wiatr przeważnie wieje z kierunku południowo – zachodniego, co powoduje, że czasem wzdłuż wybrzeża powstają nienaturalnie wielkie fale, dochodzące do dwudziestu metrów wysokości. Dlatego przeskok do każdego kolejnego portu stanowi wyzwanie – trzeba bardzo uważnie studiować mapy pogodowe, by znaleźć najdogodniejszy moment do przelotu. Udaje nam się szczęśliwie i w dobrych warunkach dopłynąć do Durbanu – jednego z największych miast w Afryce Południowej. Już pierwszego dnia oczekuje nas tam wielka gratka – w jacht klubie w marinie wieczorem ma się odbyć spotkanie z Ianem Ansleyem, sternikiem południowo – afrykańskiego zespołu startującego w Pucharze Ameryki. Dla mnie, jako dziobowej jedynej kobieciej, polskiej załogi match – racingowej, jest to szczególne wydarzenie.

Ansley pojawia się w towarzystwie dwóch swoich załogantów. Od razu zaskakuje – nie jest typowym sternikiem, który świadom swego sukcesu ze zwykłymi śmiertelnikami rozmawia z wyżyn swego miejsca w światowym rankingu sterników. To rzeczowy, konkretny, ale i bardzo serdeczny człowiek. I potrafi porwać słuchaczy swymi opowieściami o początkach zespołu, o pracy włożonej w jego rozwój i treningi. Pokazuje zdjęcia z regat, treningów i przygotowań. Tłumaczy jak powstaje tak skomplikowana konstrukcja, jaką jest jacht przygotowany do startów w regatach o „żeglarskiego świętego Graala”. Chodź po trzech miesiącach spędzonych na oceanie, momentami odczuwam ślady zmęczenia, a zbliżające się święta Bożego Narodzenia wzmagają tęsknotę za domem, człowiek tak zaangażowany w ten najpiękniejszy sport świata, swymi opowieściami natychmiast przypomina mi o tym, że miłość do żeglarstwa jest najważniejszą sprawą w moim życiu...

Święta... Zbliżają się do nas wielkimi krokami. A jednak tak trudno je odczuć w warunkach tak różnych od tych, do których jesteśmy przyzwyczajone. Dla mnie i Karoliny będą to pierwsze święta spędzona poza domem, bez rodziny i bez polskiego mrozu i śniegu na ulicach. Dziwne to uczucie. Jednak dziewczyny stają na wysokości zadania. Na dwa dni przed Wigilią, nasz jacht zamienia się w wielką kuchnię. Asia i Karolina wyrabiają ciasto na pierogi, gotują barszcz, przygotowują składniki do ryby po grecku. W wigilijne popołudnie rozpoczyna się wielkie lepienie pierogów – nawet ja daję się zaciągnąć do kuchni. Przychodzi też Dagmara – przyплыnęli do Durbanu z Mikołajem dzień przed nami. W Wigilię dołącza do nas jeszcze dwóch samotnych żeglarzy oceanicznych – Yap, Amerykanin pochodzenia holenderskiego i Bill – wiecznie uśmiechnięty Walijczyk. Zgodnie ze tradycją dzielimy się opłatkiem – dla naszych zagranicznych przyjaciół jest to zwyczaj nieznan - i kładziemy sianko na talerzyku. W rogu stołu zostawiamy puste nakrycie dla samotnego wędrowca. Robi się naprawdę domowo, chociaż wszyscy w ten wieczór tęsknimy za rodzinami jeszcze mocniej niż zazwyczaj.

Do Sylwestra pozostaje nam jeszcze kilka dni. Najbliższego okna pogodowego możemy się spodziewać 1-go lub 2-go stycznia. Durban niestety jest uznawany za jedno z najniebezpieczniejszych miast na wybrzeżu. Gdziekolwiek nie pójdziemy, wszędzie jesteśmy straszeni, że zostaniemy okradzeni, lub, że spotka nas jeszcze coś gorszego. Ciężko jest funkcjonować za drucianym ogrodzeniem, którym otoczona jest marina. Czujemy się jak więźniowie. Nam dziewczynom pozostaje przygotowywanie kreacji sylwestrowych. Wraz z Karoliną wieczory spędzamy z Dagmarą i Mikołajem na niekończących się rozmowach. Z zapartym tchem słuchamy ich opowieści o miejscach, które odwiedzili. Dzięki tym spotkaniom udaje nam się dotrzeć do Sylwestra.

Niestety w tym długo oczekiwanym dniu zaskakuje nas nieprzyjemna pogoda. Cały czas pada. Późnym popołudniem już wiemy, że przygotowywane przez nas kreacje będą musiały pozostać w szafach, a zastąpią je sztormiaki. Jednak wcale nie psuje nam to zabawy – Nowy Rok witamy w prawdziwie żeglarskim stylu, bawiąc się żeglarzami różnych narodowości. Następnego dnia po południu otwiera się wreszcie kolejne okno. Ruszamy do East London.

To maleńkie miasteczko jest jedynym w RPA portem umiejscowionym w ujściu rzeki. Cumujemy do drewnianego, niewielkiego pomostu usytuowanego tuż przed mostem łączącym brzegi rzeki. W pobliżu mieszka miejscowa foka. Pierwsza, jaką spotykamy w Afryce. Jest to oczywisty znak, że Atlantyk jest już coraz bliżej.

Nie mam niestety okazji zwiedzić tego uroczego miasteczka – jedyna wycieczka, jaką odbywam jest podróżą taksówką do lekarza i z powrotem. Jeszcze w Durban, paskudnie się przeziębiłam. Żeby jednak nie było nudno, w gabinecie, znajdującym się w miejscowej przychodni, przyjmuje mnie nie kto inny, jak... Dr. Fleischman, łudzaco podobny do tego serialowego, z pamiętnego „Przystanku Alaska”. Lekarz jest bardzo sympatyczny i co więcej, potrafi powiedzieć kilka zdań po polsku.

- Jeden z moich najlepszych przyjaciół jest Polakiem. Pracuje w naszym szpitalu – opowiada. Następnego dnia czeka nas radosne spotkanie – przyjeżdżają Renia i Andrzej. Dostajemy świąteczne prezenty z domu. Opowiadają nam o Port Elizabeth, w którym się zatrzymali, a który jest naszym kolejnym portem. Andrzej zabiera nas na wspaniałą kolację, do restauracji, której specjalnością są owoce morza. Kolejnego dnia wczesnym popołudniem oddaje nam cumy i macha na pożegnanie, gdy ruszamy w drogę. A dwa dni później wita nas już w Port Elizabeth.

Jest to miejscowość wakacyjna. Przy pięknej plaży błyszczą w słońcu przeszklone budynki nowoczesnych hoteli. Wszędzie pełno turystów, panuje tu luźna, letnia atmosfera. I jest też zdecydowanie bezpieczniej na ulicach. Nie jesteśmy już na każdym kroku ostrzegane przed złodziejami i rozbojem. Wreszcie możemy swobodnie spacerować.

W marinie natomiast mieści się biuro regat – właśnie odbywają się tu Mistrzostwa Świata w klasie Mirror. Pewnego poranka zakładam koszulkę z Uniwersyteckich Mistrzostw Europy w Match – Racinu Kobiet w La-Rochelle. Wchodzę do biura, by skorzystać z Internetu, a tam przy jednym z komputerów siedzi sędzina z tychże właśnie regat. Serdecznie się witamy.

Opowiadam jej o naszych regatach.

- Czyli uprawiacie taki oceaniczny match – racing, tak? – dopytuje się.

- Można to i tak nazwać.

- Chętnie posędziowałabym kiedyś taki długi match. – sędzina wybucha śmiechem.

Jednak już niedługo ruszamy znów w drogę. Zanim dotrzemy do Cape Town, zatrzymujemy się w Mossel Bay – spokojnym i cichym porcie. Otacza go niewielkie miasteczko.

Przyjeżdżają tu na wakacje głównie młode rodziny, z małymi dziećmi. Panuje cisza i spokój. Na wzgórzach wokół brzegu stoją rozrzucone niewielkie wille do wynajęcia. Tuż obok portu, przeznaczonego głównie dla rybaków, mieści się zaciszne kotwiczowisko. Żeglarze spotykają się w niewielkim jacht klubie tuż przy marinie.

W centrum miasta mieści się muzeum Bartolomeo Diaza – żeglarza, który jako pierwszy sprowadził osadników na te tereny. A w muzeum ciekawostka – bardzo ponoć słynne „drzewo pocztowe” – bardzo stare, o rozłożystych konarach. Legenda głosi, że na tym drzewie żeglarze płynący z Europy do Indii zawieszali opakowane listy, paczki i wiadomości dla załóg kolejnych żaglowców podążających ich szlakiem lub wracających do Europy.

W Mossel Bay spędziliśmy zaledwie jedną dobę, by ruszyć do najpiękniejszego miasta, jakie mieliśmy poznać w Afryce Południowej – Cape Town, zwanego z afrykanerska Kapsztadem. Zawinęliśmy do małej zatoczki mieszczącej się o godzinę jazdy autobusem od centrum miasta.

Zatoka w Hout Bay jest miejscem imponującym. Wpływa się do niej wąskim przejściem pomiędzy dwoma wysokimi wzgórzami. Dookoła, na wzgórzach usytuowane jest miasto oraz... zamek w średniowiecznym stylu, który jakiś niemiecki bogacz zbudował tu w prezencie dla swej małżonki. Małżonka jednak nie była zadowolona z tego „domku letniskowego” umiejscowionego na wzgórzu, gdzie ciągle szaleje wiatr, zamek został więc sprzedany i przerobiony na luksusowy hotel. Nadal jednak robi zwariowane wrażenie. Hout Bay jest przede wszystkim osadą rybacką, do znajdującej się w pobliżu mariny małej

jadłodajni serwującej owoce morza ściągają w weekendy mieszkańcy Cape Town. I rzeczywiście – jedzenie, choć naprawdę niedrogie, jest wyborne.

Jest to pierwsze miejsce, w które zbiera nas bardzo sympatyczny Waldek – znajomy Asi Pajkowskiej. Waldek jest architektem i w Cape Town mieszka od wielu lat. Jego hobby to... oprowadzanie wycieczek – jest najlepszym przewodnikiem, jaki mógł się nam trafić. Dzięki niemu poznajemy wszystkie najciekawsze miejsca w Kapsztadzie.

Cape Town to przede wszystkim olbrzymi port handlowy, ciągnący się przez długość całej zatoki, u podnóża wspaniałej Góry Stołowej. Architektura tego miasta to szalona mieszanka – w starej części miasta oglądamy pozostałości zachwycających zabudowań kolonialnych, natomiast city to symbol nowoczesności. Jednak największą chlubą miasta są położone w centrum miasta i ciągnące się kilometrami parki. To tu, pomiędzy ogrodami pełnymi pięknych, egzotycznych kwiatów, toczy się życie artystyczne – tu mieszczą się teatry, galerie sztuki, nawet opera. W parkach na trawie bawią się dzieci po zajęciach w szkole, spotykają zakochani i odpoczywają mieszkańcy miasta. Z Ewą postanawiamy wejść do Galerii. Wszystkie wystawy poświęcone są najistotniejszym dla tego kraju tematom, jak AIDS, apartheid, bieda. Dużo też miejsca poświęca się tu na pokazanie tradycyjnej sztuki rdzennych mieszkańców czarnego lądu. I jest ona zachwycająca. Z całą pewnością nie ma ona nic wspólnego z prymitywizmem.

Po dwóch szalonych dniach spędzonych na zwiedzaniu musimy jednak powrócić do rzeczywistości. Czeka nas przygotowanie jachtów do pokonania kolejnego oceanu. Przed nami zmiany w załogach – Asia Rączka i Karolina wracają przecież do Polski. Ciężko nam się rozstać po tylu przebytych wspólnie milach i po tylu przygodach.

Dla mnie przyszłość stanowi szczególne wyzwanie – odtąd to ja będę prowadzić „Mantrę Anię”. Czeka mnie pierwszy w życiu rejs kapitański po wodach nieosłoniętych, i będzie to od razu pokonanie oceanu. Czuję dumę, ale i niepokój. Czy sobie poradzę?

Dołączają do nas dwie nowe dziewczyny – Ewa i Gosia. Gosia będzie moją załogantką. Szybko okazuje się, że to wspaniałe dziewczyny. Szykujemy się do drogi i po kilku dniach zdejmujemy cumy z polorów, by ruszyć na podbój Atlantyku...